Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY. **No. 46.** Leszno, dnia 14. Maja 1841.

Incipiũt collatiões quas dicuntur fecisse mutuo Rex salomon sapientissimus et Marcolphus facie deformis et turpissimus tamen vt fertur eloquentissimus foeliciter



Marcholt.

Marcholt.

Dotąd poczytywano za najpierwszą drukowaną książkę polską żywot Jezusa Chrystusa, przez Baltazara Opecia na polski język przełożony, u Wietora w Krakowie 1522. r. wydany. W nowszych czasach odkryto w Litwie wcześniejszy o rok jeden druk polski, pod tytułem: *Rozmowy Salomona z Marchołtem,* przetłumaczone z łacińskiego dziełka, którego tytułu *Fac simile* pan Rościszewski, znany powszechnie z ślachetnych swoich usiłowań łączenia braterskim węzłem przyjaźni rozmaitych literatur sławiańskich, redakcyi udzielił. Wyimki małe z tego przekładu Marchołta umieszczone już były w dziełku dziś nader rzadkiem: *Wokabularz rozmaitych y potrzebnych Sentenciy, Polskim y Niemieckim Młodzieńcom na pożytek teras zebrany.* (Drukowano w Królewcu Pruskim u Daubmana roku Pańskiego 1566). W rozmaitych jego wydaniach, n. p. u Osterberga w Królewcu r. 1580., u Konte-

niusza w Toruniu 1590. r. i t. d., tudzież w Lelewela Ksiąg bibliograficznych dwoje i w *Wizerunkach* wileńskich. Dla obznajmienia czytelników pisma naszego z tym pierwszym drukiem polskim, a oraz z językiem i smakiem ojców naszych w r. 1521., umieszczamy tu dwa wyjątki z niego, czerpane w *Wokabularzu* Daubmana i w Lelewela Ksiąg bibliograficznych dwoje. *Wokabularz* przytacza z tego dziełka następujący ułamek: „Koniec, wyrwany z Salomona, godny dzieweczkom ku polszczyznie. Gdy Salomon siedział na stolcu oyca swego Dawida, pełen mądrości y pieniędzy, uyrzał niektórego człowieka, imieniem Marchołta, przychodzącego od wschodu słońca, na obliczu żadnego (brzydkiego) y grubego, ale barzo wymownego. A żona yego była s nim, ktora była barzo straszliwa y niezupełnego rozumu; kazał ich Salomon przed się przywieść; tedy stanęli społem na się patrzaiąc, a wzrost Marchołtów był krotki, mały a miąższy, głowę miał wielką, czoło szyrokie czyrwone a zmarszczone, uszy kosmate, oczy miąższe a płynące, nogi okrągłe, nos miąższy a garbaty, wargi wielkie a miąższe, tak, iż każdy mógł kwartę piwa s nich wynieść, oblicze iakoby u kozła, włosy iakoby na koźle, suknia iego krotka aż do lędźwy, odzienie iego farby barzo gruby. Zona theż iego była malutka a barzo miąższa, z wielkiemi piersiami; włosy yey były yakoby szczeciny, brwi wielkie, ostre a smrodliwe, yakoby na grzbiecie u wieprza, brodę yakoby u kozła, uszy yakoby u osła, oczy pochmurne a płynące, ciało czarne zmarszczone, palce miała krótkie, na nich żelazne pierścienie, goleni krotkie, a miąższe y kosmate, yakoby u niedźwiedzia, suknia yey była kosmata a rozerwana. Salomon weyrzawszy na nie, rzekł: „Słychałem o tobie z dawnych czasów, iżeś wymowny a chytry, aczkolwiekeś chłop prosty a gruby, przeto gadaywa się, ya ciebie będę pytał, a ty mnie odpowiedaj; yeśli mi na wszystko będziesz odpowiedał, tedy cię wielkiemi bogactwy ubogacę, a będziesz znamienity w mojém królestwie.″ Rozmów samych Marchołta z Salomonem w *Wokabularzu* nie masz. Natomiast przytoczył je Lelewel w Bibliograficznych ksiąg dwoje, Tom II., pag. 188.: „Król Salomon i Marchołt nie spał w nocy. Tedy Salomon i Marchołt siedli, a po małéj chwili Marchołt począł spać i chrapał, któremu Salomon rzekł: „Marchołcie śpisz?“ Marchołt odpowiedział: „Nie śpię, ale myślę.″ Salomon: „Co myślisz?“ Marchołt: „Myślę, iż tyle stawów zając ma w ogonie jak w chrzepcie.″ Salomon: „Jeźli tego nie doświadczysz, będziesz winien śmierci.“ Potém, gdy Salomon milczał, Marchołt począł spać. Któremu Salomon: „Śpisz Marchołcie?“ Marchołt: „Nie śpię, ale myślę.″ Salomon: „Co myślisz?“ Marchołt: „Myślę, iż sroka tyle ma piérza białego ile czarnego.″ Salomon: „Jeżeli téż tego nie dowiedziesz, tedy winien będziesz śmierci.“ Potém, gdy zasię Salomon milczał, Marchołt począł spać i chrapać. Któremu Salomon: „Śpisz Marchołcie?“ Marchołt: „Nie śpię, ale myślę.″ Salomon: „Co myślisz Marchołcie?“ „Myślę, iż niemasz tak nic świetlejszego nad dzień, ani cudniejszego.″ Salomon: „Zaż dzień jest bielszy niż mleko?“ Marchołt: „Tak jest.″ Salomon: „I tego téż masz doświadczyć.“ Potém, gdy Salomon milczał a czuł, Marchołt począł spać a chrapać. Któremu Salomon: „Marchołcie już śpisz?“ Marchołt: „Nie śpię, ale myślę.″ Salomon: „Co myślisz?“ Marchołt: „Nic nie ma być takiego niewieście wierzono tajemnego.″ Salomon: „I tego téż masz doświadczyć.“ Potém zasię, gdy Salomon milczał, Marchołt począł spać i chrapać. Któremu Salomon: „Już zasię śpisz?“ Marchołt: „Myślę, iż więcéj waży przyrodzenie, niż wychowanie.″ Salomon: „Jeźli tego niedoświadczysz, tedy jutro umrzesz.“ Potém, gdy przeminęła noc, Salomon zmęczony od czucia, położył się na swém miejscu. Tedy Marchołt opuściwszy króla, skwapliwie bieżał do swéj siostry, imieniem Fudazy, a ukazując się barzo smutnym, rzekł do niéj: „Król Salomon bardzo mię prześladuje, a już nie mogę jego krzywd a prześladowania cierpieć, ale oto już biorę ten nóż pod moje odzienie i zdradą go przekolę i zabiję, ale miła siostro, proszę cię, nie powiadaj na mię ani memu bratu Bufrido, ale taj.″ Któremu Fudaza odpowiedziała: „„Namilejszy bracie Marchołcie, wierz mi, iż bych ci téż miała umrzeć, tedych bych cię nieoskarzyła.“ “

„Marchołt wszystko, co przed tym powiadał, wywodził królowi Salomonowi być prawdziwe.“

„Potém Marchołt z roztropnością przyszedł na dwór królewski, a gdy słońce wzeszło, naszło się ludzi pełen dwór, a Salomon wstawszy z łożnice, siadł na swym stolcu. Tedy z przykazania królewskiego zająca szukano i przed króla przyniesiono, i dowiódł i zliczył Marchołt, iż tyle stawów było w ogonie, ile w końcu chrzepta. Potém szukano sroki i przyniesiono przed króla, a Marchołt zliczył, iż tyle miała piérza białego, ile czarnego. Tedy Marchołt milczeniem garniec pełny mleka postawił w łożnicy królewskiéj, i zatkał, by tam światłość nie była, i zawołał króla. A gdy król chciał wniść do łożnice, wstąpił na garniec mleka, i padłby był, by się był obiema rękoma nie zachwycił. Tedy król rozgniewawszy się, rzekł: „Ty zginęły synu, coś to uczynił?“ Marchołt: „Niemasz się gniewać dla téj rzeczy; zażeś nie rzekł: iż mleko jest świetlejsze niż dzień? czemużeś od mleka tak niewidział jak od dnia; rozsądź to sam, jeźliciem krzyw.″ Salomon: „Bóg ci odpuść, odzienie moje pomazało się mlekiem, a dla twego uczynku małom szyję

nie złamał, a wszakoż nie krzyw, boś sprawiedliwie uczynił.“ Marchołt: „Przeto się potém strzeż, a teraz siądź a uczyń mi sprawiedliwość o to, co przed tobą będę skarzył“ i t. d.

Dom rodzinny Kromera w Bieczu w Galicyi.

„Nadeszła pora,“ mówi w przedmowie do najnowszego dzieła swego: *Podole, Wołyń, Ukraina, obrazy miejsc i czasów,* Alex. Przezdziecki, „w któréj przejrzawszy wszystko, co tylko cudze kraje przedstawiają godnego uwagi, każdy zapytuje, azali u nas nic podobnego nie było i nie ma? Dotąd nikt jeszcze po całéj Polsce malowniczéj podróży nie odbył. W naszych obyczajach nie jest odbywać podróże, dla zwiedzenia osobliwości własnego kraju. Przemysł i gospodarstwo nie dość w kwitnącym są stanie, aby zakłady tego rodzaju służyły za cel podróży. Piękne widoki nie wzbudzają ciekawości, bo każdy je ma u siebie; a o ruiny, tak starannie zwiedzane za granicą, i co do cegiełki, że tak powiem, opisane, u nas nikt nie pyta.“

„Winniśmy dostrzedz jednak i wskazać postęp w tym względzie: postęp powolny w prawdzie i słaby, jak wszystko, co jest w kolebce; ale zarodek ten, dobrze pielęgnowany, ziścić może najświetniejsze nadzieje. To oglądanie się na nas samych i około nas, to krzątanie się we własnym kącie, nie jestże znakiem, że chcemy żyć u siebie, dla siebie, w ulepszonym bycie, wśród pożytecznych przemysłowych zatrudnień, wśród wygód obudzonéj na nowo cywilizacyi. Czas już, abyśmy żyć zaczęli życiem czynném, w obrębie sił naszych i usposobień, w obrębie zasobów, jakie nam rodzinna ziemia przedstawia; a ten obręb, Bogu dzięki, rozległy. Poznajmy tylko, co jest w ręku naszym; chciéjmy szczerze, co możemy, a odkryje się przed nami świat nowy. Miejsce czczości, która dotychczas umysły nasze zatruwa, zajmie życie wewnętrzne, w którém interes dobrze zrozumiany, będzie głównym bódźcem w prawdzie, ale bódźcem szlachetnym, bo na sumiennném wykonaniu obowiązków opartym; bódźcem nie zupełnie materyalnym, jeżeli w nowym popędzie sił naszych skinienie opatrzności uböstwiać będziemy.“

„Szczęśliwy człowiek, szczęśliwy naród, który za tém skinieniem postępuje. Mężnie i cierpliwie znosi przeznaczenie swoje; każdy krok jego pewny: bo każdemu towarzyszy pokój wewnętrzny, i to pocieszające przekonanie, że postępuje z nieodmiennym biegiem czasu. Takiego usposobienia okazują się u nas ślady, dla tego oglądamy się na około siebie, a przeliczywszy, co już mamy, postaramy się o to, czego nam zabraknie.“

Dla tego to właśnie rzucamy się chciwie do każdego zwierciadła, w którém się nasza postać odbija; dla tego wdzięcznie przyjmujemy wszystko, co do nas, o nas samych przemawia. Zbierają się troskliwie pamiątki wszelkie przeszłości, w różnych częściach kraju porozrzucane, aby je wyrwać zapomnieniu. Wiele już takowych przy pomocy miłośników rzeczy własnych, umieściła Redakcya Przyjaciela ludu w piśmie swojém; dziś podaje łaskawym Czytelnikom widok domu rodzinnego sławnego pomiędzy kronikarzami naszymi Kromera (1), zdjęty z natury przez P. Marynowskiego.

Miasto Biecz w Galicyi (2), niepoślednie zajmując miejsce w dziejach naszych, jest miejscem urodzenia Marcina Kromera. Dom jego rodzinny od północy i wschodu na obrazku wystawiony, leży nad brzegiem rzeki Ropy; w dobrym jest dotąd stanie i należy do pana Szwejkowskiego. Budowa i cały jéj rozkład świadczą, że nie jedno już stulecie przetrwała. Z obszernéj sieni na dole, prowadzą wschody otoczone staroświecką dębową galeryą, do komnat górnych sklepionych różnéj wielkości. Do jednych z nich po osobnych znów wschodach wstępujesz, do drugich schodzić jesteś zmuszony. Okna w jednym i tym samym pokoju różnéj są wielkości i kształtu. W baszcie okrągłéj wszystkie mieszkania są sklepione; na pierwszém piętrze pokazują jedno z nich, w którém Kromer nasz ujrzał po raz pierwszy światło słoneczne. Z okien baszty czarujący widok roztacza się przed okiem twojém na rzekę Ropę i roskoszne jéj brzegi, — wzrok błąka się po bujnych łanach i pięknych wioskach. W starożytnego kościoła farnego zakrystyi, znajduje się portret Kromera, a w kościele samym tablica podługowata z bronzu, pamięci przodków Kromera poświęcona.

Napad.

(Przez K. Wł. Wojcickiego.)

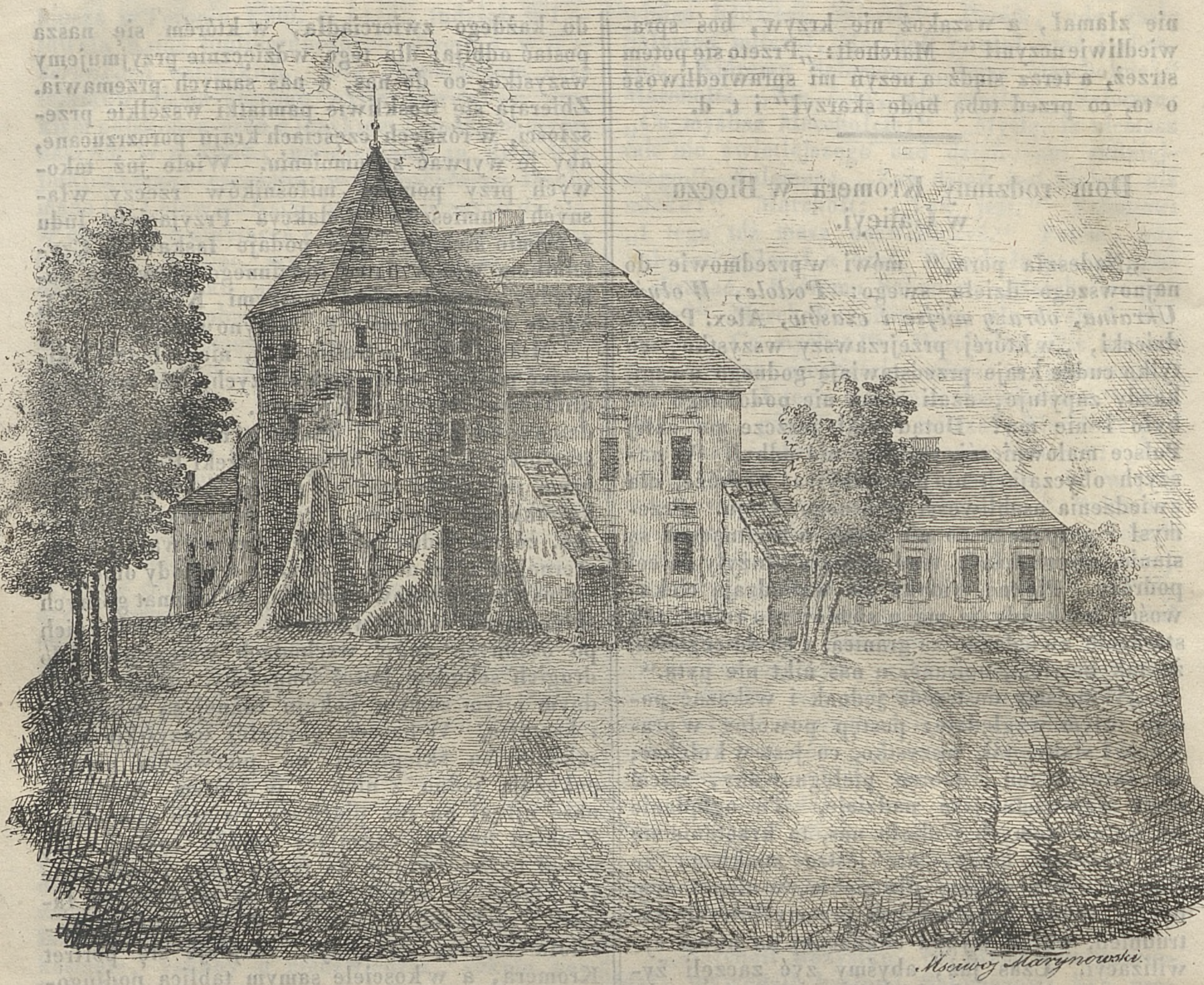
1.

Obiadowa była doba; cała rodzina Janusza siedziała przy stole, gdy bramą otwartą wjechał szlachcic na dziarskim stępaku na dziedziniec.

„Czyjż tu posłaniec jedzie?“ rzekł stary Janusz. „Grzegórz! wyjdź na ganek, i zobacz od kogo.“

Szlachcic konny zbliżył się aż pod same okna, i kawał papieru przylepił na okiennicy. Grzegórz nim wyszedł na ganek, jeździec już zawracał, i puścił prędkiego galopa; nieujrzał jego twarzy, bo czapkę miał spuszczoną na oczy, i od kontusza kołnierz podniesiony. Stary Janusz zdziwiony postępowaniem jeźdźca, roz-

(1) Zob. P. l. rok I, T. 2., N. 29, str. 232.
(2) Zob P. l. rok III., N. 44., str. 345.



Dom Kromera w Bieczu od strony wschodu.

kazał papier z okiennicy przynieść, a pan Roch, syn najstarszy, przeczytał głośno:

„„Zalecamy niniejszém Jegomość panu Januszowi, ażeby pod starym dębem, przy rozstajnych drogach, złożył w szkatule złp. 36,000: w przeciwnym razie niech się obawia na każdém miejscu zemsty od braci szlachty.““

„Co Waść czyta, czy poszaleli?“ krzyknął przerażony starzec.

„A to zuchwałość bezczelna!“ zawołał pan Roch, drąc w gniewie on papier przylepiony na okiennicy.

„„Niemasz tu żartów,““ rzekł siwy Grzegórz, „„trzeba mieć na tych hultajów zawsze w pogotowiu wyszczerzone zęby: bo łotry nigdy darmo niegrożą, a snać, że i tych banda zapewne potomstwo Pomrozanów, o których się tyle nasłuchało. Ba! śpiewają o nich i pieśni.““

„Panie ojcze,“ rzekł Roch, „pozwolicie, że się zajmę wszystkiém, już ja ich przyjmę godnie.“ I ze czterma braćmi powstał od stołu.

Stary Janusz napisał kilka listów do swoich pokrewnych, wzywając ich pomocy: gdy tymczasem synowie rachowali więcéj na własne siły, przemyśliwali nad obroną. Ze zbrojowni dobyto wszelką strzelbę; odczyszczoną i dobrze nabitą, rozdano między domowników; co noc sześciu wartowników ze wsi, stało na czujnéj straży na podworzu, a kundle i sławne brytany spuszczano wcześnie z łańcuchów. Skoro zmierzchło, jeden z synów Janusza zasiadał zbrojny z kilką domownikami w obronnym ganku, ażeby dać pierwszy opór i zbudzić wcześnie uśpionych. Cały dwór był w pogotowiu, jakby czekając napadu Tatarów, ale noce mijały spokojnie, nikt się nie ukazał, a psy zażarte szczekaniem głośnym zwiastowały jeno przechodniego wilka.

Stary Grzegórz niedowierzał téj ciszy, codziennie wykręcał nabój ze swego szturmaka,



Dom Kromera od strony północy.

świeżo nabijał i podsypywał.— Pan Janusz wtym czasie kilka razy wychodził do spichrza nowego, co stał wrogu parkanu, i wnim się zamykał: dworscy mówili, że tam stary zakopuje pieniądze i klejnoty.

We dwie niedziele po zapowiedzi piśmiennéj, wsamo południe, gromada szlachty zbrojnéj ukazała się z dębowego lasu. Każdy jeździec oprócz szabli miał parę pistoletów za pasem; kilku szturmaki przewieszone na ramieniu; czapki wsunięte na oczy, kołnierze podniesione od kapot i kontuszów, niedozwalały poznać żadnego oblicza. Jeden jechał przodem i migami wskazywał kierunek. Ujrzawszy dwór Janusza, skoczyli co koń wyskoczy, i niedostrzeżeni stanęli pod parkanem, blisko spichrza. Tu dwudziestu zeskoczyło na ziemię, dwunastu zostało na koniach: pieśi rzucili się na drzwi spichrza, i siekierami wkrótce drzwi dębowe i okute wysadzili.

Stary Grzegórz pierwszy dostrzegł; ze szturmakiem w ręku wpada do izby i woła: „Zbójcy! zbójcy!“

Na tak niespodzianą nowinę zbledli wszyscy, zadrżał Janusz, ale Roch, syn najstarszy, za-

BARTHOLOMEO, CROMERO,
AVO. ET. GREGORIO CROME
RO. PATRI, VIRIS, CONSULA
RIBUS, ET, SACELLI, HUIUS
CONDITORIBUS, ANNÆ, BI
NAROVIÆ, AVIE, ET, AGNE
TI CIRMENSIÆ MATRI, MA
TRONIS, NOBILIBUS, ET, HON
ESTIS, MARTINUS, CROMERUS
V. I. DOCTOR, CRACOVIÆNS, ET
VARMICÆN, ET, SÆCRETARI
US, REGIUS, SUIS, DESIDERA
TISS, I P. ANNO, M. D. L. V I I.

Grobowa tablica z kościoła bieckiego.

grzał wszystkich, porwali się do broni, i gdy każdy zajmował stanowisko przeznaczone od dawna, huknął wystrzał, a stojący na progu w spichrzu napastnik, upadł z jękiem. Zagrzmiały gęste strzały z okien i dymników dworu: ulękli się najeźdcy, wypadają ze spichrza, porywają rannego, dosiadają koni, unosząc z sobą towarzysza, co krwią swoją znaczył ślad ich ucieczki.

Stary Grzegórz, co pierwszy huknął ze swego szturmaka nie próżnie, z dymnika zobaczył, jak uciekali do dębowego lasu — a wysłańcy Janusza, w tymże lesie stracili wszelki ślad zbójców konnéj szlachty.

2.

Miesiąc upłynął spokojnie; rozumiano we dworze Janusza, że szlachta raz dostawszy nauczkę, więcéj niezawita, ale stary Grzegórz kręcił głową i jeszcze nie dowierzał.

Posłaniec przywiózł listy donoszące o słabości śmiertelnéj stryja, a brata rodzonego pana Janusza; ojciec przeto wysłał Rocha wraz z wszystkimi synami, ażeby odebrali błogosławieństwo bezdzietnego stryja i zapewne jaki zapis; z synami ubyło domowników: stary Grzegórz pojechał z paniczami. Niezostało we dworze, jak kilku służących, a przy Januszu stara gospodyni Brygida, co sypiała obok w komnacie. Jedna noc przeszła spokojnie; na drugi dzień deszcz lał jak z cebra; psy w budy się pokryły, wartownicy na wyżkach w sianie zagrzebani spali; kilku dworskich wiedząc, że pan nie wyjdzie, poszli hulać do gospody. Brygida pozamykawszy drzwi wszystkie, odmawiała wieczorne godzinki; gdy Janusz posłyszał jakiś ruch niezwyczajny na podwórzu, a w krótce wybijanie do drzwi dworu. Małe chłopię, co sypiało przy panu, wysłane na górę, drząc doniosło, że kilkudziesiąt zbrojnych wybija drzwi siekierami. Brygida padła na kolana, a Janusz prawie ztrętwiały, nieporuszony siedział w swojém krześle przed kominem. Pacholę schowało się pod wielką szafę.

Po kilku ciosach silnych toporów, drzwi wysadzono; wybito następne i zbójcy wpadli do izby, gdzie siedział stary Janusz, a Brygida, klęcząc przy nim, objęła jego kolana, płacząc rzewnie.

Kiedy pierwszych sześciu wpadło i spojrzeli na starca, Brygida dwóch poznała znajomych sobie: byłato szlachta sąsiednia; ale zaledwo jednego wymówiła nazwisko, uderzona obuchem siekiery, padła bezprzytomna u nóg Janusza.

„Stary, pieniędzy!“ krzyknął groźnie jeden, wstrząsając ramieniem starca.

„„Pieniędzy niemam,““ odrzekł spokojnie Janusz.

„Gdzie szkatuła?" zawołał drugi, „cośmy ci ją kazali złożyć na rozstajnych drogach pod starym dębem."

„„Szkatuły niema, synowie moi z sobą ją wzięli.““

„„Lisieto są wybiegi,"" krzyknął dowódzca, „„daléj, poprosić starego inaczéj; kiedy dobrym sposobem nie chce, to zaśpiewa cienkim głosem."" I wyciął mu silny policzek.

Starzec się zachwiał; nie odrzekł słowa, modlił się z cicha.

„„Zdjąć mu buty, i rożna!"" rzekł dowódzca, „„jak przysmażym mu pięty, to będą pieniądze; — wszak prawda?""

Kiedy w kominie rozpalał jeden rożen do czerwoności, drudzy odbijali szafy; szukali po zakątach, ale nic znaleść niemogąc, powrócili tém więcéj rozżarci.

Obnażono biednemu starcowi nogi, a na dany rozkaz, ten co rozpalił rożen, przyskoczył i ugodził nim w nogę. Zaskwierczało ciało; starzec słabo jęknął i omdlał.

„„Porwana djabłu cała wyprawa tak dobrze upatrzona,"" rzekł do swoich szlachcic przewódzca; „„cóż teraz zrobimy? Baba leży zabita; stary może już duszą zipnął, a tu zresztą ani więcéj żywego. Szukajmy, musi on tu mieć pieniądze, kiedy tak się warował.""

Całą noc strawili na próżno; — poniszczyli sprzęty, wyrwali podłogi, pieniędzy nie znaleźli; — już świtać zaczęło; więc strudzeni, i bojąc się napadu dworskich, dosiedli koni i odjechali.

Janusz z okaleczoną nogą otrzeźwiał. Brygida, odurzona tylko, powstała; chłopak wylazł z za szafy. Janusza złożono na łożu. Posłaniec z dworu zaniósł do synów okropną wiadomość, którzy, pogrzebawszy zwłoki stryja, corychléj wrócili do domu.

(Dokończenie nastąpi.)

Synod klechów podgórskich 10. Stycznia 1607. roku.

(Przez J. J. Kraszewskiego.)

[W początkach XVII. wieku kościoły polskie, z dawna bogato ponadawane, chowały przy sobie wielką ilość sług różnego nazwiska, stanowiących zupełnie osobną klassę pośrodkującą między ludem i kapłany. Tato klassa na wpół uczona, dosyć zepsuta i bardzo uboga, zwana *klechami*, w wiecznych zatargach z duchowieństwem, które jéj skąpiło chleba tak hojnie nadanego księżom, dała powód nieprzyjaznym duchowieństwu, do wymyślenia pisma pod tytułem *Synodu*, to jest: Zjazdu klechów dla narady o swojéj biedzie. To pismo, wystawujące obyczaje klechów, ich nędzę, a księży skępstwo i dostatek, miało zapewne być lekarstwem przeciw krzywdom, jakich ubodzy klechy od nich doznawali. Nim opiszem ten Synod, który miał mieć miejsce w Każimierzu pod Krakowem roku 1607., dnia 10. Stycznia; powiemy kilka słów

o klechach, których typem jest odmalowany przez nas gdzieindziéj Albertus.

Klechów gmin przybierał także imie powszechne *Żaków* (służące wyłączniéj młodszym); zwano ich też *Rybałtami.* Wyraz ten nie polski, przyszedł do nas z włoskiego i w XVI. wieku, jak się domyśleć należy, miał w Polsce znaczenie, jakie mu nadawano we Francyi i Włoszech, to jest rozpustnika, urwisza. Początkowo, w wiekach średnich, wyrazem Ribaldi, oznaczano ciurów, sług włokących się za wojskiem „servientes exercitus, qui publica lingua dicuntur Ribaldi," późniéj dopiero (w XVII. wieku) Ribaldus zaczął być synonim łotra, rozpustnika i w tém znaczeniu przyjęty został w językach francuzkim, angielskim, włoskim i polskim. Jakim sposobem u nas łotr i rozpustnik, Rybałt jedném słowem, oznaczać zaczął w Polsce wyłącznie klechę (to oznaczenie widoczne jest w wielu pismach z początku XVII. wieku), to tylko wytłumaczyć może historya obyczajów téj klassy, które w opisaniu Synodu się odmalują.

Klechy dzielili się na dwie klassy główne: żonatych i nieżonatych (uxorati et adolescentes). Ci ostatni na wyświęconych i świeckich (ordinati et saeculares). Do klechów gminu liczyli się dzwonnicy (campanatores) i organiści (organarii). Przy większym kościele klecha starszy zwany pospolicie senior, rektor albo mistrz (magister), utrzymywał szkołę, a w niéj żaków sposobił, ucząc kantu z partesów (partitur), graduału, chórału mszy, lamentacyi, psalterium pogrzebowego, wigilij i t. d., najczęściéj niepobierając za to żadnéj płacy. Klecha od siebie utrzymywał swoim kosztem dla kościoła i szkółki kantora. To był klecha niższego już stopnia, od tego niższym jeszcze i ostatnim był dzwonnik. Bardzo małe było myto klechów w XVII. wieku, dwanaście do piętnastu groszy, do tego zwyczajem było, że chłopi zrzucali im petycyą, snopkowe, z którego plebani jeszcze czwarciznę wybierali. Do klechów należał czwarty grosz uzbieranéj w kościele jałmużny, czwarta część ofiarnego chleba i t. p. Plebani w święta i uroczystości obowiązani byli dawać im obiady. Oprócz wymienionych, liczących się do klechów, organistów i dzwonników; należeli tu także zakrystyani i szkółek kalafaktorowie, pod których zarządem były piece, ławy, dyscypliny. Ci ostatni zwali się w XVII. wieku, niewiem dla czego, *sufletami.*

Chodzili kleśi po wśiach to z opłatkami, które roznośili wieśniakom (dawano je bydłu jako prezerwatywę od chorób), to święcąc domóstwa i t. p., żebrząc prawie jałmużny. Ubierali się ciemno w giermaki, albo bekiesze długie; w kościele brali na się komże.

Niekiedy sam klecha zastępował dzwonnika. Do kantora z professyi należało śpiewanie psalterium i wigilij nad umarłym (zastępowały ich w tém czasem uczeńsze baby żebraczki). Gdzieniegdzie wyznaczone było za to osobne myto, zapraszano ich prócz tego na stypy. Obyczaje klechów nie są najlepsze, a nauka mała kończyła się na wyuczonych sroczo pieśniach i responsoryach. Lecz przystąpmy do rzeczy.]

Ksiądz pleban siedział spokojnie nad kuflem, gdy drzwi skrzypnęły, łysa się pokazała głowa, potém dziurawy bót, nareście cały kantor, niepoczesna, odarta figura; pozdrowił księdza temi słowy:

„Bonus dies, prałacie, jak się WMość macie?"

Pleban podniósł oczy, zawisłe brwiami, i krzyknął chrzypliwie:

„Po co tu zaglądasz? A do powroza złodzieju!"

„Właśniem przyszedł pytać, czy czas dzwonić," odpowiedział klecha.

„Jaki nabożny," odparł ksiądz. „Idź i powieś się na dzwonie z nabożeństwa. Do próżnowania jednaki, a do pracy kantor z klechą nigdy się nie pospieszą."

„Na cóż się WMość gniewasz? Ja pytam, co będziemy dziś śpiewali."

„Kat ci gada o śpiewaniu, kundysie. Idźcie mi oto zaraz oba z klechą konopie moczyć; darmo tylko siedzicie w szkole. Namoczywszy, z grabiami w pole; precz!"

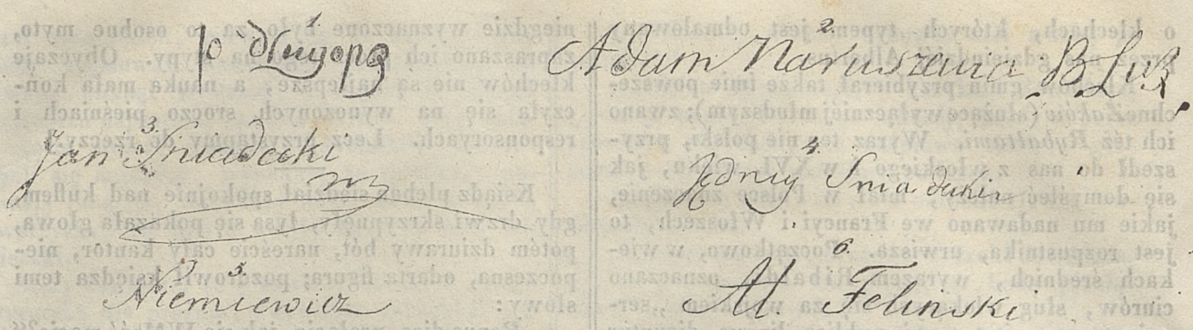
Nie było co odpowiedzieć, i kantor zamyślony, milczący, zamknął drzwi i wyszedł po klechę do szkoły, zwieśiwszy głowę.

Tu znalazł klechę, łatającego buty zdesperowane.

„Aj, aj!" poskrobał się w głowę, „powiem wam Dominaszku złą nowinę. Nałajał mi ksiądz, bo i tobie się mimo jazdy dostało. Dobrze, że mi jeszcze kuflem w oczy nie cisnął. Przyszedłem po klucze, i pytałem, co śpiewać będziemy, a on mi kazał konopie moczyć, a potem w pole z grabiami. Ja grabić nie umiem, a jak mu pójdę tylko, wejdzie to we zwyczaj i potém nas kijem zaczną napędzać."

„„No, panie Stanislae,"" odpowiedział klecha, rzucając buty, a jak nie pójdziem, to obu nas obłata kijem. Kiedy mu się słabsi nie wyproszą, chromi i kalecy, cóż dopiero my zdrowi. Noszą mu oni grzyby, ryby, i Bóg wie, co gdzie który zarwie chodząc po jałmużnie. A jeszcze jak sobie zaleje, to ich potłucze czasem, albo w kośnicy posadza. No! no! chódźmy bracie, porwan katu z powrozem, my cośmy zdrowi, dałby on nam.""

„A pfe!" rzekł kantor, „tak się łacno poddawać!" I chodził po szkole, rękę w rękę włożywszy, spłwając po troszę. „Za cóż my będziem robić, za co? a toć lepiéj być chłopem, przynajmniéj za to kawał gruntu by dali. Niechaj lepiéj pobije. Czego nie umiemy, temu dajma pokój," mówił daléj, „a idźma w świat od niego. Prawda, szkoda petycyi, gdyby być miała; szkoda i czwartego grosza, aleć my go



Facsimilia sławnych ludzi. (*)

i tak rzadko widujem. Niewiele postradamy, kiedy zniemi biedy pozbędziem."

To mówiąc kantor, jął się do swych tłomoczków, i poły za pas założywszy, gmyrał się za piecem. Klecha rzuciwszy buty o podłogę, patrzał; a gdy ujrzał, że w milczeniu kij bierze i czapkę otrząsa z kurzu, zatrzymał go nagle.

„„Stanislae, oszalałżeś, czy co, i dokądże idziesz?""

„Jam nie oszalał, ale ten chyba, co mi każe robić licho wie co. Czegóż ja tu będę czekał? Petycyi téj mizernéj kilka kop rzędnych, a za to będę jadł pył kościelny?"

Klecha nareszcie dał się poruszyć, i boso wystąpiwszy, jął wołać:

„„A porwanże go Bogu i z temi snopkami, co ich tam człek kilka uprosi, a jeszcze z nich czwarciznę plebanowi dać muśi, napociwszy się, nim ją zbierze. Prawda, że my darmo służym, Stanislae, prawda, ej! gdyby lepsze buty! i jabym już poszedł! Co nam mają te siostrzeniczki i bratanki i ciotki przewodzić, co mamy się z temi małpy gryźć i wadzić; lepiéj pójść. Ale, ale, a dokądże pójdziemy?""

„Wszędzie Pan Bóg," odpowiedział kantor poważnie. „Idźmy, dobierzem się do locum. Mniejsza tam o waścine bose nogi, Dominaszku, abyś miał czem grzbiet nakryć. Ja mam siaką taką biekieszę, ty giermak; pójdziem wesoło choć i boso, lata jeszcze po temu, nauczym się jeszcze czego po drodze, szkoda nam tu młody wiek tyrać."

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Do Redakcyi Przyjaciela ludu.

Panie Redaktorze!

Mylnie od wielu znajomych poczytywany za autora powieści pod napisem: „Helena," w Nr. 38 — 40. Twojego czasopisma umieszczonéj, mam sobie za obowiązek mniemanie to, jakkolwiek pochlebne, a do którego zapewne początkowe głoski mojego nazwiska i miejsce pobytu, powód dać mogły, sprostować. Dla uniknienia podobnych na przyszłość przypadków, ogłaszam, iż artykuły moje, Tygodnikowi literackiemu przesełane, za podpis mają głoski *A. Sz.* (nie zaś jak wspomniona powieść: *Sz.*), lub téż całe nazwisko; kilka zaś rozbiorów, szczególniéj pism czeskich, w Tygodniku, jak również artykuł: „O Ewangelium reimskim" w Przyjacielu ludu, są bezimienne. Z pomiędzy pierwszych, to jest głoskami *A. Sz.* opatrzonych, nigdy nie zechcę się przyznać do powieści pod napisem: „Anusia," w Tygod. liter. rok I. umieszczonéj; Redakcya bowiem pisma zbyt samowolnie porobiła wyjątki z przesłanéj jéj odemnie powieści, i tak je czytającéj przedstawiła powszechności.

Te kilka słów raczysz pan jako usprawiedliwienie się moje w najbliższym numerze Twojego czasopisma umieścić, przyjmując odemnie wyraz prawdziwego szacunku, z jakim zostaję na zawsze.

Aleksander Szukiewicz.

Kraków, 5. Maja 1841.

(*) Dopełniając zbioru facsimiliów monarchów polskich i sławnych ludzi, podajemy łaskawym Czytelnikom podpisy: 1. Jana Długosza. 2. Adama Naruszewicza, biskupa łuckiego. 3. Jana Sniadeckiego. 4. Jędrzeja Sniadeckiego. 5. J. U. Niemcewicza. 6. Aloizego Felińskiego.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: *J. Łukaszewicz.*)